Nr. 30. We Lwowie dnia 29. lipca 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Tomasz Henryk Huxley.

Są uczeni, którzy w ciszy gabinetu swego i pracowni rodzą wielkie pomysły, dokonywują wiekopomnych odkryć i poprzestają na dzieleniu się wynikami swej pracy ze stosunkowo nieliczną garstką współtowarzyszów. W tych razach wszakże, gdy doniosłość nowej zdobyczy naukowej sięga tak daleko, że interesować się nią może szeroki ukształcony ogół, występują na arenę pośrednicy pomiędzy światem uczonych a żądnym nowych myśli tłumem i w przystępnym języku obwieszczają *urbi et orbi* nową prawdę naukową.

Są inni uczeni, którym praca w obranej gałęzi wiedzy nie przeszkadza występować publicznie i samym głosić o postępach nauki, prostować błędy i uprzedzenia, wskazywać jasne drogi myśli ludzkiej, uczyć i oświecać. Ci ostatni podwójną mają korzyść i podwójną zasługę. Prawdy naukowe, brane, że tak powiem, z drugiej ręki, niezawsze ukazują nam się tak wyraźnie i przeźroczyście, jak są pojmowane przez tych, którzy je pierwsi wygłosili. Cel, do którego zmierza popularyzowanie nauki, niejednokrotnie nie bywa osiągany dlatego właśnie, że popularyzowania tego podejmują się nie uczeni sami, lecz ludzie, niedostatecznie do nauczania przysposobieni. Co gorsza, i tak się zdarza, że nieumiejętne popularyzywanie wiedzy sprowadza skutki wprost przeciwne temu, co uczony i popularyzator zamierzał. Sądzę, że współczesny kierunek umysłów, przejętych brakiem czci dla wiedzy ludzkiej, ba, nawet urągających jej i odsądzających od wszelkiej wartości, jest w znacznej części spowodowany przez niezrozumienie celów, do jakich dąży trzeźwa nauka, jest konsekwentnym wynikiem tego, że umysłom, niewyszkolonym w metodzie badania naukowego, przedstawiono te cele w niewłaściwem świetle, że we wnioskowaniu ze zdobytych faktów naukowych posuwano się zbyt daleko, że zbaczano z prostych dróg myślenia, strzelano po za wytkniętą jasno metę. Nic dziwnego, że strzały chybiły w wielu razach, a cel został pominięty i niezrozumiany.

Dość wskazać tak niby popularną teorję Darwina, aby poprzeć to rozumowanie nasze. Któż bo wśród ukształconego ogółu współczesnego przyzna, iż nie jest dobrze o zasadach nauki Darwina poinformowany? A jednakże, nader rzadko spotkać się można z należytem zrozumieniem poglądów tego wielkiego przyrodnika. Toż przecie i publicyści i socjologowie, którzy postanowili czerpać ze skarbca spostrzeżeń angielskiego bjologa i spożytkowywać je dla swoich celów, popełniali niejednokrotnie najfatalniejsze pomyłki. A na Darwina bynajmniej uskarżać się nie można, że był zbyt nieprzystępnym w pismach swoich. Co więcej, idee tego myśliciela znalazły tak głośny oddźwięk w świecie uczonych, że uprzystępnieniem ich szerokiemu ogółowi zajęły się pierwszorzędne powagi naukowe. I rzec można słusznie, praca znakomicie tu się powiodła. Szkoda też wielka, że nie wszyscy czerpali z tych pierwszych, niezamąconych źródeł, lecz udawali się nieraz po naukę tam, gdzie podawano jej surogat. Kto pragnie poznać górujące w nauce dzisiejszej kierunki bjologiczne w ich formie najczystszej, niezaprawionej żadnemi ubocznemi myślami, ten zagłębiać się winien w dzieła samego Darwina i najbliższych jego współtowarzyszów.

Do tych ostatnich, do bojowników wiedzy, którzy z rzadką, konsekwentną wytrwałością walczą za ideały naukowe, należał zmarły niedawno Tomasz Henryk Huxley.

Do grobu schodzi w ostatnich latach to pokolenie uczonych, które było świadkiem epoki najpiękniejszego rozkwitu poznania ludzkiego i czynny brało w niej udział. Wielkie idee o przyczynach zjawisk w świecie martwym i żywym zajmowały niepodzielnie prawdziwych uczo-

nych na przełomie obu połów bieżącego stulecia. A wyniki tej pracy, w której obserwacja, doświadczenie i kombinacje myślowe szły zgodnie, popierając się nawzajem, tak były jasne i przekonywujące, że najlepsze siły wśród uczonych brały w rękę pióro i rozsiewały wiedzę naokół. W dziejach wiedzy zapomnianą nie będzie zasługa uczonego tej miary co Huxley, iż, sam badając tajemnice żywego świata, sam śledząc objawy życia w najdrobniejszych jego zakątkach, dzielił się rezultatami swej pracy, nietylko z ciasnem kołem uczonych, lecz wtajemniczał w nie również rozległe warstwy społeczeństwa. Popularne wykłady Huxley'a o »stanowisku człowieka w przyrodzie« są wzorem wykładów naukowych.

Wierny swym zasadom, Huxley na wysokiem stanowisku profesora i długoletniego przewodniczącego rady szkolnej w Londynie, ustawicznie miał na oku reformę nauczania szkolnego, dążącego do pozytywnej wiedzy, wolnego od zakłócających przymieszek, które z istotną wiedzą nic nie mają wspólnego. Ojczyzna, opłakująca obecnie zgon tego niezrównanego nauczyciela, czci też w nim przedewszystkiem przewodnika młodzieży, pełnego poświęcenia dla swego zawodu, nieustraszonego wobec największych trudności, jakie mu spełnianie obowiązków nasuwało.

Czysto naukowe zasługi Huxley'a również zapewniają mu pierwszorzędne miejsce w dziejach rozwoju nauk bjologicznych. Działalność tego niepospolitego umysłu przypada na czas, kiedy bjologja zerwać musiała z długo pielęgnowanym systemem klasyfikowania żywych tworów, ujrzawszy, że na tej drodze dalsze jej zdobycze nie sięgną po za surowe nagromadzenie materjału, którego wewnętrzny mechanizm istnienia pozostawał wciąż niezrozumiały. Nadszedł czas, kiedy należało wzrok zapuścić w przyczyny rozwoju tworów żywych, w zagadkę ich powstawania, kiedy porównywanie osobników i całych ich gromad obiecywało dać rozwiązanie mnóstwa pytań, które natarczywie nasuwały się przyrodnikom od najdawniejszych czasów. Embrjologją, nauka o rozwoju osobniczym żywych istot i anatomja porównawcza obejmowały owe prawa i zagarniały dla siebie znaczną dziedzinę nauk bjologicznych. I kto dziś, choćby najogólniej, obejmie wzrokiem rezultaty, zdobyte przez te gałęzi wiedzy, zdumiewać się musi nad ogromem włożonej tu pracy i nad jej wydajnością. Huxley, któremu słowa niniejsze poświęcamy, był jednym z najpierwszych i najszczęśliwszych przodowników na tem polu. Jego studja z embrjologji i anatomji porównawczej stanowią najcenniejsze cegły do podwalin współczesnej wiedzy bjologicznej. Zbyt specjalną jest ich treść, abyśmy nią czytelnika zajmować mogli.

I nauka antropologji zawdzięcza Huxley'owi dary pierwszorzędnej wartości. Sprawa pochodzenia człowieka tak żywo do dnia dzisiejszego jeszcze zaprząta naukę biologji, że krytyka naukowa gromadzi czemraz większe wymagania, przykłada do postępów w tym kierunku coraz surowszą miarę. I sprawa ta zapewne przez długi czas jeszcze czekać będzie ostatecznego rozstrzygnięcia. Nigdy wszakże nie stracą na wartości pierwsze, najwcześniejsze dokumenty, złożone przez naukę w tej kwestji. A wśrod dokumentów tych, dowody Huxley'a przechowują wielkie znaczenie.

Huxley należał do tych pociągających, wielce sympatycznych umysłów, które, niezasklepione w swej specjalności, obejmują rozległe widnokręgi myślenia i szukają wielkich praw, rządzących wszechświatem. Gdy umysły podobne łączą w sobie talent samodzielnego badania z umiejętnością nauczania, pozostawać po nich musi z konieczności plon obfity dojrzałych myśli i dobrze pojętych prawd naukowych Są epoki w dziejach wiedzy, które bardziej sprzyjają wyłanianiu się takich uczonych; są inne, które zapędzają ludzie nauki w ciasne kąty drobnostkowego badania. Epoka, w której działał i czynami swemi naukowemi przyświecał Huxley, stosunkowo bogatą była w ludzi doń podobnych. Z tej też epoki i dzisiejsi uczeni i liczni jeszcze współczesnych nam następcy czerpać powinni bodźce do przykładania się takiego w myśleniu naukowem, które najpiękniejsze wydaje owoce ku pożytkowi i dobru ludzkości.

(Gazeta Polska). *Dr. M. Flaum.*

Chłopi i studenci w Danji.

III.

Co do pojęć politycznych duńskiego chłopa, to zaznaczyć wypada, że w przeciwieństwie do innych krajów, gdzie chłop albo jest pod względem politycznym obojętny albo zachowawczy, przeważna część włościan duńskich zajęła z chwilą, gdy w Danji odezwało się silniejsze tętno życia politycznego, stanowisko wybitnie demokratyczne. Uwidoczniło się ono natychmiast po zaprowadzeniu powszechnego prawa głosowania w Danji w r. 1849.

Jakkolwiek cały stan włościański w Danji należy uważać za religijny, wyemancypowali się przecież chłopi w sprawach świeckich jak najzupełniej z pod wpływu duchowieństwa, a jeszcze silniej zaznaczyli opozycję swą względem urzędników i właścicieli obszarów dworskich.

Chłopi duńscy baczą na to bardzo pilnie, ażeby podczas wyborów gminnych, z których

wychodzą sami chłopi, panowie ci trzymali się od nich zdaleka. Tosamo dzieje się także podczas wyborów politycznych.

W pierwszych trzydziestu latach od chwili zaprowadzenia powszechnego prawa głosowania, uosabiali ideę demokratyczną w polityczno-społecznem życiu Danji wyłącznie chłopi; dopiero w połowie drugiego dziesiątka ruch demokratyczny zdobył sobie należyte pole w Kopenhadze i po miastach prowincjonalnych. Najświetniejszymi mówcami politycznymi kraju byli chłopi albo też ludzie chłopskiego pochodzenia. Od połowy szóstego aż do połowy siódmego dziesiątka był przewódcą lewicy w parlamencie duńskim dawniejszy szewc wiejski, który nie uczęszczał nigdy do innej szkoły, prócz do wiejskiej szkółki elementarnej, a zresztą był samoukiem. W następnych pietnastu latach najznakomitszym członkiem lewicy był dawniejszy nauczyciel ludowy, syn chłopa z Jutlandji zachodniej. Mniej więcej połowa członków dzisiejszego sejmu Kopenhagskiego składa się z chłopów, pomiędzy którymi nie braknie także wyrobników wiejskich.

Namiętne walki polityczne w Danji, o których nieraz było głośno zagranicą, to przeważnie walki chłopów przeciw lepiej uposażonym warstwom społeczeństwa. W tym chłopskim ruchu politycznym brały i biorą żywy udział także i włościanki, występując nieraz na mównicy.

Chłopi duńscy uprawiają także najrozmaitszego rodzaju s p o r t y.

W towarzystwach strzeleckich, liczących około 20.000 członków włościańskich, zajmują się obok strzelania także i gimnastyką. Gra w piłkę, a zwłaszcza sport kołowy rozszerzają się po wsiach duńskich coraz to bardziej. Jeździe na kole oddają się z równym zapałem i włościanki. Jeżeli Danja posiada stosunkowo do liczby mieszkańców 2—3 razy więcej kolarzy niż inne kraje, przypisać to należy temu, że niema tam wioski, w którejby nie było przynajmniej kilku cyklistów, w niektórych zaś wsiach potworzyły się kluby kolarzy, liczące 40 do 50 członków. W r. 1892 odbyły się w Danji dwa wielkie wyścigi szosowe — pierwszy wyścig na przestrzeni 580, drugi na przestrzeni 500 kilometrów. Zwycięscami byli wtenczas dwaj synowie chłopscy z jednej i tej samej wsi w Jutlandji.

W ogólności zaznaczyć wypada, że chłop duński bierze żywy udział we wszystkich ruchach i interesach społeczeństwa duńskiego, śród którego najwybitniejszą odgrywa rolę.

IV.

Niezwykły rozwój umysłowy włościaństwa wpłynął naturalnie w wysokim stopniu na rozwój rolnictwa. Od początku bieżącego wieku przyspieszono zapomocą zdrenowania ziemi i innych ulepszeń w c a ł e j D a n j i ż n i w a o c a ł y m i e s i ą c.

W ostatnich latach trzydziestu wzrósł roczny sprzęt zboża o 6 miljonów ton, buraków zaś o 20 miljonów. W tym samym czasie uzyskano na 700 mil kwadr. duńskich 50 mil kw. świeżej ornej ziemi, a to przez uprawienie obszarów, leżących dawniej pustkowiem, lub przez opanowanie wybrzeży morskich.

Co się tyczy sprzętu zboża, to na średniej dobroci roli duńskiej wydaje posiew 12—14 razy tyle ziarna.

Danja odznaczyła się zwłaszcza na polu mleczarstwa. Rolnicy duńscy dali w siódmym dziesiątku bieżącego wieku dowód nadzwyczajnej sprężystości i rozumu. Kiedy bowiem w tym czasie zaczęły spadać ceny zboża, z kraju rolniczego stała się Danja w przeciągu niewielu bardzo lat krajem przeważnie mleczarskim. Ilość bydła tak pomnożono, że w stosunku do swej ludności przewyższa dzisiaj Danja pod tym względem wszystkie inne kraje.

Jaką energję pokazali rolnicy duńscy na tem polu, świadczy nadzwyczajny rozwój stowarzyszeń dla racjonalnej hodowli bydła. Gdy bowiem w r. 1887 istniało zaledwie kilka tylko stowarzyszeń dla hodowli zwierząt domowych, w następnych 5 latach rozwinięto tak natężoną działalność, że dzisiaj sama Jutlandja posiada 325 tego rodzaju stowarzyszeń.

Rozwój mleczarstwa jest również dowodem niespożytej energji chłopa duńskiego. W wielkich gospodarstwach istniały nasamprzód »mleczarnie wodne«, zmieniono je niebawem na »mleczarnie lodowe«, a wkrótce potem na mleczarnie »centryfugalne«. Ale masło chłopskie było pod względem jakości daleko gorsze od masła wyrabianego we dworach. Zaczęli więc chłopi reorganizować swoje mleczarnie i to w drodze s p ó ł e k. Powstały »mleczarnie gminne«, prowadzone parą, zaopatrzone w centryfugi, lodownie i t. d. Chłopi, dostarczający mleka tym zakładom i dzielący się potem ich dochodem, zobowiązani są zaprowadzać u siebie racjonalną hodowlę bydła.

Z końcem ósmego dziesiątka lat powstawało co roku jakie 200 mleczarni parowych. Na tysiąc gmin wiejskich posiada Danja około 900 parowych mleczarni spółkowych, których właścicielami są chłopi, około 200 parowych mleczarń, zrajdujących się w ręku prywatnem zawodowych mleczarzy i około 280 mleczarń dworskich.

W miarę rozwoju mleczarni wzmagała się produkcja i wywóz masła. W r. 1870 wywóz masła wynosił w Danji około $4^1/_2$ miljonów kilo. Wywóz ten wzrasta z każdym dniem, głównym zaś odbiorcą jest Anglja.

Silny rozwój wywozowego handlu masłem spowodował założenie wielkiego stowarzyszenia dla wywozu masła.

Z końcem ósmego dziesiątka lat wywołał niemiecki zakaz przywozu nierogacizny formalną rewolucję na polu tego handlu. Aż do tego czasu wysyłano do Anglji wieprze, tuczone w Danji.

Z chwilą ogłoszenia zakazu zaczęły natychmiast powstawać rzeźnie spółkowe i towarzystwa dla wywozu mięsa. W rzeźniach tych kłują wieprze w stanie półtucznym; słoninę wysyłają następnie jako »bacon« do Anglji. Pod tym względem zajmuje Danja na rynkach angielskich drugie miejsce — pierwsze należy się Ameryce północnej. Oprócz słoniny wywozi Danja rocznie 100.000 sztuk wieprzów, 100.000 krów i wołów i około 2 miljony funt. wołowiny, oraz około 14.000 koni.

W stanie kwitnącym znajduje się także handel jajami. Danja wysłała w r. 1884 160 miljonów jaj do Anglji.

Oprócz tego prowadzi Danja znaczny handel ogrodowinami, wysyłanemi do Ameryki.

Oprócz mleczarni i t. d. istnieje w tym zamożnym kraju bardzo wiele innych spółek: spółkowe piekarnie, browary, młyny, cukrownie i t. d. Prawie każda wieś ma stowarzyszenie spożywcze, a wielkiego znaczenia jest fakt, że chłopi składają kapitały swoje we własnych bankach ludowych, prowadzonych przez chłopów albo ich powierników. Chłopi potworzyli także własne towarzystwa asekuracyjne.

Tak się przedstawia ogólny obraz życia włościaństwa duńskiego, o którem z niemałą słusznością powiedział jeden z wybitnych Duńczyków: »Jeżeli stan chłopski w wielkich państwach dojdzie w zbliżającym się wieku do zupełnego uświadomienia pod względem obywatelskim, to włościaństwo duńskie będzie musiał uważać za przednią straż tego wielkiego ruchu emancypacyjnego«.

Jan Kasprowicz.

Kartki z współczesnego dziennika.

Stefan Żeromski. — »Opowiadania«. — Warszawa. U Teodora Paprockiego i S-ki. 1895.

(Dokończenie).

II.

Padając uważnie psychologiczną budowę historji dra Obareckiego, znajdziemy w niej trzy węzły niejako, trzy wiązania, oparte jedno na drugiem. Przedewszystkiem mamy historję »zgaśnięcia płomyczka« dra Pawła: »Płomyczek zgasł sam«. Autor nie nastaje nawet zbytnio na opłakanym wpływie Obrzydłówka: płomyk zgasł sam, jak same z siebie rozwiewają się wątłe dobre chęci ludzi słabych i nie na właściwą dla siebie drogę wstępujących. Po wtóre — mamy przeciwstawienie dezercji moralnej doktora z walką dziewczyny, która wytrwała na posterunku. Dziewczynę tę jednak ukazuje nam autor również jako zwyciężoną — zwyciężoną fizycznie. Po trzecie wreszcie widzimy drugi i ostatni upadek dra Pawła: na chwilkę przy zwłokach autorki »Fizyki dla ludu« rozpala się w nim niby ów zagasły płomyczek. Ale płonie krótko i tylko sztucznym ogniem, a po małym czasie z dra Obareckiego robi się tłusty »konsyliarz« prowincjonalny, w którym »metafizyka« już nie postanie zapewne do końca życia.

Trzy momenty główne noweli to trzy etapy pessymizmu, trzy ataki czarnej melancholji, tem czarniejszej, im mniejszą grozą, im większą powszednością dyszy obrazek. Bo czyż to nie jest prawdziwie szczyt pessymizmu ta historja zdrad i porażek moralnych »inteligentnej jednostki«, gdzie właściwie nic nawet nie druzgotało jej zamiarów, nie było żadnej walnej bitwy, żadnej wyraźnej przegranej? Ot po prostu płomyk zgasł sam z siebie, z braku paliwa; po prostu owa siła moralna, ów lewar, zapomocą którego chciał Obarecki dźwignąć swe zamiary — ze zbutwiałego był materjału?

Uważam, że taka koncepcja »inteligentnej jednostki« pessymistyczniejszą jest w zasadzie od przedstawienia jakiejś walki, jakiegoś boju, chociażby również zakończonego klęską.

Taka beznadziejnie pessymistyczna psychologja charakteryzuje i inne utwory p. Żeromskiego. Wszędzie szwankuje na pierwszem miejscu sam materjał, z którego ulepieni są jego bohaterowie. Jest to swojego rodzaju Ananke, fatalność tych postaci: upadają nie tyle zwyciężeni przez siłę zła, ile wskutek własnego ubóstwa moralnego upadają, jak strzały zbyt słabo wyrzucone, przed metą i bezużytecznie. Oto np. taka »inteligentna jednostka« asystuje przy operacji »bicia w mordę«: gajowy Lalewicz bije chłopa Obalę, za to że ten wziął parę desek na trumienkę dla syna. »Inteligentna jednostka« widzi całą ohydę tej sceny, odczuwa z przedziwnym artyzmem i nastrój zastrupieszałego w męce Obali i podławe podskakiwanie gajowego. Nie rzuci się jednak ów doskonały obserwator na bijącego, nie odciągnie go od ofiary... Dla czego? — Dla tego, że wszelkie zjawisko budzi w takim zbutwiałym mechanizmie moralnym nie żądzę walki, nie poryw czynu, ale parę pessymistycznych i zabarwionych cynizmem refleksji... Inteligentna jednostka, patrząc na bicie w mordę obmyśla aforyzm o przemądrem prawie zapomnienia, które pozwala takiemu Obali istnieć. Gdyby nie »zapomnienie« jakążby męką byłą istnienie takiego nędzarza!..

Patrząc na mieniącą się w niepokoju twarz chłopaka, którego ogarnia »złe przeczucie«, taka inteligentna jednostka nie pośpieszy ze słowem pociechy, uspokojenia, lecz będzie wolała »przyglądać mu się z pilną i nienasyconą uwagą bratačłowieka«. Czyż nie to samo cechuje dra Oba-

reckiego? On również grzęźnie w swej »metafizyce«, samoanalizuje się przenikliwie; lecz w spróchniałych nerwach nie czuje prężenia woli. Dr. Obarecki płodzi tylko »refleksje«, ropaczliwy owoc samoobserwacji.

Tak to rys psychologji bohaterów p. Żeromskiego różni jego pessymizm od pessymizmu innych młodych autorów. Bo i Brolis, i Niedźwiecki. i Andrzej Niemojewski, i Dąbrowski piszą, wszyscy to wiemy, smutnie, jak płaczki pogrzebowe. U pana Żeromskiego ten smutek do szpiku kości przenika same jego postacie. Jako rys bardzo charakterystyczny i nawet niezbędny w tego rodzaju psychologji zanotować należy pewną dozę cynizmu, która towarzyszy zawsze tym samoobserwacjom żałośnym próchniejących »jednostek inteligentnych«. Jest to rzecz znana w życiu, że ci analitycy, ci przerafinowani« i robiący zbyt częste rachunki sumienia, przed sobą i przed innymi jałowość swoją maskują w pewnego rodzaju dowcipie, kpiarstwie nad sobą i nad całym światem.

Taką jest w głównych zarysach psychologja nastroju utworów p. Żeromskiego. Z obfitej, a dość jednostronnej obserwacji swego pokolenia wysnuł autor ten wątek opowieści o »gasnących płomykach«, o wyrodniejącej z własnej jałowości »jednostce inteligentnej«, o małych, codziennych zdradach, zakrapianych tanim konceptem i nieodzowną »refleksją«. Utwory jego musiały dobrze trafić w ton swych współczesnych, skoro jak wspomniałem, wywołały dyskusje i komentarze. Nie jeden młodzieniec, uważający się za »inteligentną jednostkę« zapomniał o własnych refleksjach i dowcipach, odczytując dziwnie bolesną w swym cynizmie historję dra Obareckiego.

I tem dotkliwiej, powtarzam, dawała się uczuć wewnętrzna prawda tych szarych obrazków, im sytuacje ich, koloryt, bohaterowie podobniejsi byli do zwykłej miary ludzi z naszego otoczenia, do najzwyklejszych dni powszednich z jakich się ostatecznie składa istnienie i zwykłych śmiertelników i pseudo-apostołów.

Nad utworami p. Żeromskiego wisi, jak ostateczne słowo zagadki, poczucie jakieś utajone tych zgubnych warunków, wśród których musi istnieć społeczeństwo nasze. I to jest bezwątpienia prawdą, że niewesołe zgoła pole obserwacji mają pp. Żeromski, Brolis, Dąbrowski, Kasprowicz, Niemojewski...

* * *

Nie wdając się w dalszą analizę właściwości p. Żeromskiego, pozwolę sobie jeszcze zrobić jedną uwagę.

Obrzydłówek przedstawiał się drowi Obareckiemu niezmiernie nieponętnie. Zwłaszcza w czas jesieni krajobraz wywierał wrażenie beznadziejne: »Myśl zbierała z tego krajobrazu smutek, w którym było coś chronicznie kataralnego, i mglisto, niejasno, bezwiednie wyczuwaną trwogę. Ten właśnie nastrój kataralno-melancholijny stał się nastrojem dominującym i rozciągnął się na sezony letnie i wiosenne«...

Podoba mi się bardzo to określenie smutku wiejącego z Obrzydłówka na Obareckiego, jako, »chronicznie-kataralnej melancholji«. I nawet rozciągnąłbym to określenie nietylko do wrażeń dra Obareckiego, lecz wogóle do nastroju nowel p. Żeromskiego i młodych. Jest w nich coś »chronicznie-kataralnego« w istocie. Ponieważ dużo przed tem mówiłem o słuszności tych obserwacji, o ile dotyczą pewnego typu »inteligentnej jednostki« w pewnych warunkach, niech mi teraz wolno będzie zaznaczyć, że jednak owe »ekonomicznie-kataralne« refleksje, owa »mglisto wyczuwana trwoga« nie zawsze i nie wszędzie, nawet w okolicach Obrzydłówka, rozciągają się »na sezony letnie i wiosenne«. Psychologja zmarłej na tyfus nauczycielki nie znała zapewne chronicznie-kataralnego nastroju. I, mówmy wyraźnie, inaczej czują i żyją setki i tysiące tych szeregowców boju życiowego, którym na dłużej dopisało zdrowie moralne.

Rozumiem, że kilka kartek współczesnego dziennika z konieczności musiało się powlec w te mgły kataralne, rozumiem, że łatwiej oddać to, co najczęściej dolega nam samym a psychologja analizującego i refleksyjnego pokolenia ma właśnie szczególną skłonność do tego pessymistycznego kataru. Ale, jednak, czy nie wartoby wciągnąć już i innych objawów »z pola walki« do dziedziny twórczości artystycznej? Pod pióro ciśnie się tłum epizodów, postaci, porywów, klęsk wreszcie całkiem innych niż te, które z kartek powyższych poznaliśmy. Stoją nowi ludzie, snują się pasma nowego życia przed progiem naszej powieści współczesnej a nikt ich nie odda i nie odtworzy tak dobrze jak ci, którzy odczuli i odtworzyli już część swoich rówieśników. Sądzę, że skala talentów młodych, podobnych p. Żeromskiemu, obejmie więcej niż tych kilka wstępnych kartek.

Antoni Potocki.

MARZYCIEL.

Obrazek z bruku warszawskiego

Przez

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Ciąg dalszy).

Rodzice panny Teofili, podczas lata przynajmniej kilka razy na tydzień odwiedzali wspaniały park łazienkowski i tylko wielka niepogoda mogła ich od tych wycieczek powstrzymać. Lubili oni to ustronie, kochali je nawet, zżyli się z niem.

On i ona, pracowite dzieci Warszawy, mieli dużo wspomnień, ściśle z tym parkiem związanych. On, dzieckiem jeszcze, tu się z rówieśnikami gonił, kasztany zbierał, ona ze skakanką, lub obręczą, jako kilkoletnia dziewczynka, uwijała się po alejach.

On tu bywał później, jako gimnazista, młodzieniec, jako początkujący urzędnik w biurze prywatnem, ona jako pensjonarka, później jako dorosła panna na wydaniu.

W tym parku poznali się, w tym parku nad stawem on jej miłość swą wyznał, tu spacerowali jako narzeczeni, jako małżonkowie, tu przywozili w zgrabnym wózeczku małą Teofilkę, aby się pod cieniem lip i kasztanów bawiła, tu nareszcie przychodzą z tąż samą Teofilką, jako już dorosłą panną. Przez tyle lat można się do miejsca przyzwyczaić i polubić je można.

To też ile razy są w Łazienkach, różne miłe wspomnienia im na myśl przychodzą, każda ławka, każde prawie drzewo je przynosi.

Pobrali się z przywiązania. On był początkującym urzędniczkiem, ona bezposażną panienką, żyli w mierności, po mieszczańsku, z kredką, z oszczędnością groszową, potrzeby mieli skromne, więc niedostatku nie zaznali, a kiedy po piętnastu latach pożycia, niespodziewana sukcesja, kilka tysięcy rubli wynosząca, na niego spadła, kupili w starej dzielnicy Warszawy dom o trzech oknach frontu z oficyną i nie zmienili w niczem trybu życia.

Wielce to uroczysty dzień był dla nich, kiedy na świeżo nabytej nieruchomości umieszczona została tablica z napisem: Nr. XX., dom Ludwika i Joanny, małżonków Widelskich«. Mogli już być spokojni o los Teofilki, boć oczywiście, obywatelska córka, z majątkiem i edukacją, miła i przystojna, starą panną zostać nie może.

Co się tyczy owej edukacji, była ona jak kamienica, bardzo średnia, prawie mała, taka jaką dać może czteroklasowa pensja, ale rodzice o wyższej nie marzyli, gdyż ta, jaką dali córce, według ich pojęć była wystarczająca. Prócz edukacji matka dała córce dobre zasady, nauczyła ją oszczędności i szanowania grosza.

Czegóż więcej przy urodzie i kamienicy potrzeba?

Tego samego zdania był i ojciec. Pana Ignacego miał on już oddawna na widoku, ale rad był, że młody człowiek z krokiem stanowczym nie śpieszy. — Panienka młoda jeszcze, a gdyby poszła zamąż i opuściła dom rodzicielski, to trudno byłoby się przyzwyczaić do jej nieobecności.

Zmrok zapada, ostatnie promienie słońca już zagasły, w górze gwiazdki zaczynają mrugać, wielkie stare drzewa szumią poważnie, od wody chłodniejszy wietrzyk zalatuje, żywa fala ludzi płynie w powrotnym kierunku, coraz więcej wolnych ławek, coraz bardziej pusto w alejach.

— Szczególna rzecz — odezwała się pani Joanna — dlaczego on dziś nie przyszedł?

— Widocznie nie miał chęci — odrzekła panna Teofila, coraz energiczniej kreśląc jakieś floresy końcem parasolki na piasku.

— O kim mówicie? — spytał ojciec.

— O Ignacym.

— Jest też o kim wspominać? — rzekła panna Fila. — Nie przyszedł, to nie przyszedł. Mogę mamę zapewnić, że ani trzęsienia ziemi z tego powodu nie będzie, ani świat się nie skończy. Chodźmy do domu mamo, takie nudy w tych Łazienkach, takie nudy!

— Co też ty dziecko mówisz? Czy jest piękniejsze miejsce na świecie?

— Co pięknego, moja mamo, trawa, woda, drzewa... wielka osobliwość!

— Panna nie w humorze — rzekł pan Ludwik — ale niema racji się gniewać. Teraz przypominam sobie: Ignacy nie mógł dziś tu przyjść, dla tej prostej racji, że go w Warszawie niema.

— Wyjechał?

— Tak jest.

— Czy mówił co ojcu o tym zamiarze?

— Mnie nic, ale spotkałem dziś na ulicy jego zwierzchnika i ten mi wspominał. Chwalił go przytem, bardzo chwalił.

— Proszę!

— Tak, tak; mówił, że bardzo pracowity, pilny, zdolny i że, jak dwa a dwa cztery, awans go nie minie. Dziś już ma ośmset rubli pensji, po Nowym Roku dojdzie do tysiąca. A co, panno Teofilo, dzielny chłopak?!

— Cóż mnie to obchodzi? — odrzekła, wzruszając ramionami.

— Uważasz, Joasiu, ona mówi, że ją to nic nie obchodzi, a jestem przekonany, że się ucieszyła niezmiernie. Taki awans, to nie żarty. Czy panna wie, że pan Ignacy może z czasem zostać dyrektorem biura, prawą ręką prezesa i głównego akcjonarjusza towarzystwa, że może zajść daleko, bardzo daleko...

— Niech sobie idzie dokąd chce, a my śpieszmy do domu. Jest już chłodno.

— Dziś chłodno!

— To jest... no tak, omyliłam się, jest gorąco i pić mi się chce.

— No, to chodźmy.

Pan Ludwik powstał z ławki, podał rękę żonie i wszystko troje opuściło ogród.

Panna Teofila odpięła różę od gorsu i nerwowym ruchem poskubała ją na kawałki. Bladoróżowe płatki pięknego kwiatu posypały się na ziemię.

Przy bramie ogrodu botanicznego, stał, jakby oczekując umyślnie, pan Ignacy.

— Dobry wieczór państwu — rzekł.

— A jest zguba! — zawołał pan Ludwik — myślałem, że się już nie zobaczymy.

— Ja to nic nie myślałam — zaprotestowała panna Teofila.

— Podobno wyjeżdżałeś, panie Ignacy.

Młody człowiek zmieszał się.

— Zkąd pan wie? — zapytał.

— Ha, no, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi, spotkałem się przypadkowo z panem Kellerem i on mi właśnie wspominał.

— W istocie, wyjeżdżałem, ale tylko na dwa dni.

— Daleko?

— I... nie bardzo... parę stacji koleją. Wróciłem przed dwoma godzinami i udałem się zaraz tutaj, w przekonaniu, że państwa spotkam.

— Spodziewam się — rzekła pani Joanna — że odprowadzisz nas do domu i zostaniesz na herbacie.

— Z największą przyjemnością, ciociu.

— No, to podajże rękę Teofilce i pośpieszajmy, bo kawał drogi do domu, a dorożką jeździć nie lubię. Trzeszczy to, huczy, trzęsie i kosztuje.

Młody człowiek zbliżył się do panny Teofili z zamiarem podania jej ręki.

— Bardzo dziękuję, jestem dość silna, aby iść o swojej mocy.

— Czem panią obraziłem?

— Niczem.

— Jednak się kochana kuzyneczka gniewa.

— Kuzyneczka bardzo daleka, a...

— Może nie kochana?

— Nie chcę o tem wiedzieć.

Jakaś grupa przechodniów rozdzieliła młodą parę.

— Widzi pani, jak to źle nie słuchać rodziców, w takim tłoku trzeba koniecznie iść pod rękę. No, służę pani.

— Jeżeli to ma być koniecznością...

Oparła się lekko na jego ramieniu, przez jakiś czas postępowali w milczeniu, on przerwał je pierwszy.

— Ciekawym, co też kuzynka o mnie myślała?

— Nic.

— Zupełnie?

— Ani przez jedną chwilę nawet.

— Przepraszam, ale nie wierzę.

— Grzeczny pan jesteś i nic a nic nie zarozumiały! Skoro powiadam, że nie myślałam, to powinno panu wystarczyc. Na jakiej zasadzie możesz mi pan przeczyć?

— Widzę, że pani jest zagniewana, a nie wyobrażam sobie, jak można się na kogoś gniewać, wcale o nim nie myśląc.

— Właśnie, że można.

— Jabym nie potrafił!

— A ja umiem.

— Więc pani jednak przyznaje, że się na mnie gniewa?

— No, tak, gniewam się; chociaż właściwie, co pana może interesować mój gniew?

— To pytanie! przecież ja chcę z panią być w zgodzie, w harmonji jak najlepszej, zawsze, zawsze, przez całe życie.

Właśnie przechodzili obok latarni ulicznej, przeto żywy rumieniec, który nagle na twarzy panny Teofili wykwitnął, nie mógł się ukryć przed wzrokiem młodego człowieka.

— Czy mi już pani przebaczyła? — szepnął przytulając silniej jej rękę do siebie. — Ja nie wiem, com właściwie zawinił, ale przepraszam stokrotnie, obiecuję poprawę z całego serca, tylko niech się pani nie gniewa. No jakże?

— Ja nic nie mówię.

— Jak mam to milczenie rozumieć?

— Jak się panu podoba. Dlaczego mi pan nie powiedziałeś, że wyjeżdżasz?

— Bo mi niespodziewanie podróż wypadła.

— Same niespodzianki... i dokąd to pan odbywałeś wędrówkę?

— Bardzo niedaleko.

— Tak samo odpowiedziałeś pan przed chwilą memu ojcu, ale ja nie jestem mocna w geografji i przyznam się ze wstydem, że nie wiem, w której stronie świata leży miasto czy wieś Niedaleko. Takiej ignorantce, jak ja, należy się bliższe wyjaśnienie.

— Co pani po tej wiadomości?

— Właściwie nic, ale kto żąda przebaczenia, musi być szczerym.

— A więc będę nim. Jeździłem do Siedlec.

— A po co?

— W pewnej sprawie... w sprawie majątkowej.

— Tak? to pan posiadasz majątek? Nie wiedziałam o tem.

— Właściwie nie mam, ale kiedyś mogę mieć, w przyszłości.

— Hm... hm... Śliczną przyszłość masz pan przed sobą. Ojciec mówił, że czeka pana awans, że z czasem zostaniesz jakimś bardzo wielkim dygnitarzem. Onieśmielona jestem... i doprawdy nie wiem, jak mam pana tytułować, czy mówić »szanowny dyrektorze«, czy też »panie dobrodzieju«.

(D. c. n.)

Skarby Bibljoteki Jagiellońskiej.

Na ostatniem posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego Akademji Umiejętności, dr. Władysław Wisłocki przedstawił katalog inkunabułów Bibljoteki Jagiellońskiej, którego opracowanie wykończył i podał niektóre o nich wiadomości.

Druków pierwotnych, czyli t. zw. inkunabułów (od wynalezienia sztuki drukarskiej aż do do r. 1500 włącznie), posiada bibljoteka ogółem 2.636. Z tych 2.295 stanowią osobny dział p. n. *Incunabula*, który w zbiorach bibljotecznych pierwsze po rękopisach zajmuje miejsce; reszta, w liczbie 341, rozrzucona po innych działach (w Historji 13, w Prawie 8, w Polskiem prawie 8, w Teologji 53 i t. p.). Dubletów jest między nimi tylko 336, reszta w ilości 2300 unikaty, poczet tem poważniejszy, jeżeli zważymy, że jest to ósma część wszystkich w ogólności inkunabułów, jakie się do r. 1500 włącznie z różnych drukarń europejskich pojawiły, a których Hain w 4-tomowem swojem *Repertorium bibliographicum* razem 16.299 zebrał i które z małym wyjątkiem nadzwyczaj wzorowo i dokładnie opisał. Stosunek zresztą inkunabułów Biblj. Jagiell. do pomnikowego *Repertorium* Haina przedstawia się i pod innym jeszcze względem bardzo ciekawie, w liczbie bowiem tych 2.636 a względnie 2.300 dzieł, dziełek i wydań jest z górą 300 takich, o których istnieniu Hain zgoła żadnej nie miał wiadomości, z górą też 500 takich, których sam naocznie nie oglądał, o których tylko z drugiej ręki pobieżną miał wiadomość i których dlatego z wierną dokładnością opisać nie mógł.

W ciągu XIX w. nabyła Bibljoteka, i to przeważnie tytułem darów, tylko 74 inkunabułów. Bardza mała ich liczba, a także jako darowizna, wpłynęła w ciągu XVII. i XVIII. w., najwięcej jeszcze stosunkowo po śp. drze Brożku i po kasacie Towarzystwa Jezusowego, po pierwszym bowiem dostało się uniwersyteckim zbiorom bibljotecznym w r. 1652 inkunabułów 15, z pojezuickich księgozbiorów krakowskich w r. 1780 ink. 16. Wszystkie inne zaś, razem około 2.000 numerów, a wiele z pośród nich w dosyć dobrze jeszcze zachowanej oprawie starożytnej, co tem większej nadaje im wartości, to własność różnych kolegiów, różnych wydziałów i burs uniwersyteckich już w drugiej połowie XV. lub w pierwszej XVI. w. Nabytych przez kupno bardzo mało między nimi, zaledwie kilka. Cała ich wielka reszta zaś, to książki po bakałarzach, magistrach i doktorach krakowskich, a niekiedy także po byłych uczniach Uniwersytetu Jagiellońskiego z końca XV. lub z początku XVI w., opatrzone częstokroć malowanymi lub na oprawie wyciśniętymi ich herbami i godłami, ofiarowane przez nich albo już za życia, albo po śmierci. Samych biskupów i arcybiskupów w rzędzie tych darodawców, a byłych uczniów, lub nawet bakałarzów i magistrów krakowskich, jest pięciu, a względnie aż ośmiu. Jest także nominat lwowski, Jan Długosz († 1480) i kanclerz w. koronny Kurozwęcki († 1483). Po każdym z nich dostało się ówczesnym zbiorom bibljotecznym po 1 i po kilka inkunabułów, po biskupie Tomickim nawet 36!

Ale nietylko ilością i nietylko ze względu na swoje pochodzenie imponuje zbiór inkunabułów Bibljoteki Jagiellońskiej, daje on zarazem wcale chlubne świadectwo byłym właścicielom swoim; powiada nam bowiem, co magistrowie i doktorowie nasi swego czasu czytali i co skrzętnie za życia w prywatnych zbiorach swoich gromadzili, a przytem rzuca także dosyć wyraźne światło na pytanie, jaki też w ogólności mógł być stan nauk pod koniec XV. w. i na samym początku XVI. wieku w Uniwersytecie krakowskim? Jakoż już sam pobieżny rzut oka na tych 2.636, względnie 2.300 inkunabułów i zestawienie ich z pomnikowem Haina *Repertorium bibliographicum* przekonywa o tem, że nie brak tu niczego ważniejszego, co się w owych czasach z zagranicznych drukarń pojawiało, że wszystko, co w owej dobie jakąkolwiek większą miało wartość naukową, lub było głośniejsze, znali nasi magistrowie i doktorowie, że wszystko to pilnie rozczytywali, a nawet w swoich posiadali zbiorach, z własnych nabyte funduszów. Tak teologja, jak prawo, tak medycyna, jak nauki, wchodzące w zakres przedmiotów, wykładanych wówczas na wydziale artystycznym, wszystko tu stosunkowo bardzo obficie jest reprezentowane. Patrząc też na ten zbiór inkunabułów, śmiało twierdzić można, że przeważna część magistrów i doktorów krakowskich z końca XV. i z początku XVI. w. wszelkich ze swojej strony dokładała usiłowań, ażeby iść ręka w rękę z ówczesnym ruchem i postępem naukowym, a Uniwersytet Jagielloński, jeżeli w owym czasie niekoniecznie pierwszorzędne w Europie zajmował stanowisko, z pewnością nie stał w ówczesnym świecie cywilizowanym na ostatniem miejscu.

Jest wszakże jeszcze jedna okoliczność, która wartość i znaczenie inkubunałów Biblj. Jagiell. niepospolicie podnosi. Są to liczne i gęste dopiski na bardzo znacznej liczbie inkunabułów, treści najrozmaitszej: teologiczne, jurydyczne, lekarskie, filozoficzne, a także historyczne, z życia społecznego i inne. Prelegent bliżej rozbierał i przytaczał pewną część tych dopisków, wśród których panuje wielka rożnorodność, a wiele jest bardzo charakterystycznych i ważnych.



PRO MEMORIA.

29. lipca 1882. Zmarł w Brukseli w ostatniej nędzy Włodzimierz Wolski.

31. lipca 1847. Powieszeni we Lwowie na górze Hyclowskiej patrjoci demokraci Teofil Wiśniowski i Józef Kapuściński.

4. sierpnia 1863. Heidenreich (Kruk), dowódzca powstańców pobił Moskali pod Chruślicą, 8. zaś sierpnia odniósł słynne zwycięstwo nad wrogiem pod Żyżynem, za co Rząd narodowy mianował go jenerałem.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.